

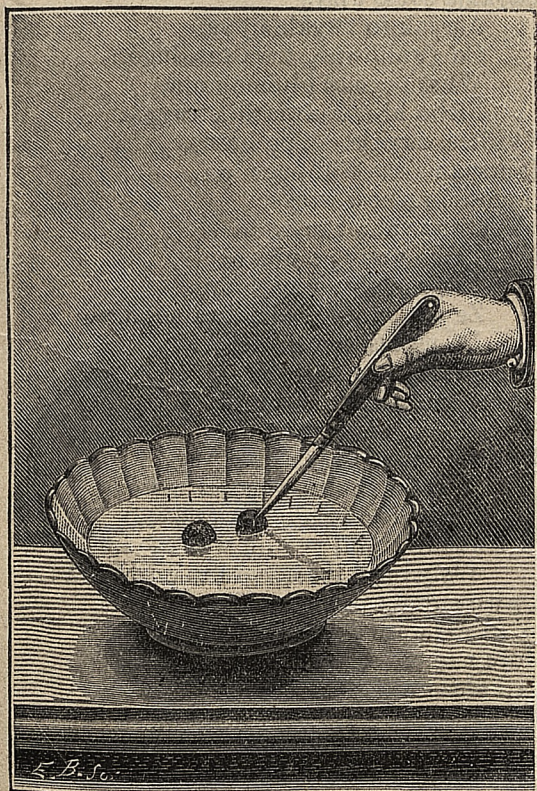


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Rysunek przedstawia dwie małe kuleczki korkowe, pływające po wodzie. Spróbujmy zbliżyć je do siebie, a w pe-

wnęj chwili, gdy odległość już będzie bardzo mała, kulki przyciągną się i zetkną.

Wszystkie ciała mają tę własność, że cząsteczki ich przyciągają się wzajemnie, przylegają do siebie. Dwie tafle szklane bardzo gładkie, można ścisnąć tak szczelnie, że będą jakby sklejone. Lecz przyleganie to najwyraźniej widzieć się daje przy zetknięciu cieczy z ciałami stałymi, bo ciecz złożone są z cząsteczek niezbyt silnie z sobą spojonych. Przedmiot, umoczony w wodzie, zwilża się, a czemuż jest owo zwilżenie? Przyleganiem wody. Malowanie, tynkowanie, bielenie, wszystko to pochodzi z owęj własności przylegania. Któż o tém nie wie, że gąbka dziurkowata wodę w siebie wciąga? tak samo i cukier zwilża się z łatwością cały, gdy go do wody w jednym miejscu przytkniemy. Wreszcie i ręcznik wilży się na znacznej przestrzeni, choć tylko koniuszkiem jest w wodzie zanurzony.

A dla czego? gąbka jest dziurkowata, cukier także, wreszcie i ręcznik ma w sobie mnóstwo drobnuteńkich otworów, woda w nie wchodzi, bo cząsteczki tych ciał ją przyciągają. Własność ta nazywa się także włoskowatością, przekonano się bowiem, że wąskie jak włos rurczki mają dziwną siłę wciągania, wysysania w siebie cieczy. Dość jest zanurzyć w wodzie szklaną cieniutką rurczkę, a zaraz woda w niej się podniesie do góry, i to w taki sposób, że na jej powierzchni w rurce utworzy się wklęsłość, ściany bowiem nazywają przyciągają ze wszystkich stron silnie tę wodę i podnoszą ją wyżej jeszcze w miejscach zetknięcia. Możemy sobie wyobrazić, że wszystkie ciała dziurkowane zawierają mnó-



stwo takich rureczek włoskowatych i one to wodę wciągają...

Gdy dwie kuleczki korkowe zbliżą się jedna do drugiej o tyle, że odległość pomiędzy nimi ma rozmiary rurki włoskowatej, zaraz w tém miejscu utworzy się także malutka wklęsłość w wodzie, kuleczki toczą się po spadzistości i przylgną do siebie.

Spróbujmyż teraz jedną kuleczkę posmarować tłuszczem, a wówczas przy zbliżeniu nie będzie przyciągania, przeciwnie, możnaby sądzić, że jedna kulka odpycha drugą. Bo też zwykle przedmiot tłusty nie wilży się w wodzie, wszyscy o tém wiemy. Nie ma tu jednak właściwie odpychania, tylko cząsteczki każdej cieczy są pomiędzy sobą o tyle silnie spojone, że nie ulegają przyciąganiu cieczy odmienniej, nie przystają więc do niej i wygląda to, jakby ją odpychały. I otóż w otworku włoskowatym pomiędzy dwiema kuleczkami z jednej strony woda się podnosi, z drugiej nie, i taki ztąd pagóreczek się tworzy, iż kulki nie mogą przylgnąć do siebie.

## KSIEGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

We Wrześniu roku 1885 zgasła w Warszawie jedna z tych rzadkich kobiet, które bardzo wiele dobrego czynią w cichości, w tajemnicy niemal, stosując się do słów Chrystusa: Niech nie wie lewica twoja, co czyni prawica. Teresa Russanowska ośm lat mieszkała w Warszawie, lecz za życia nazwisko jej mało było znane, gdyż od zgiełku światowego stroniła, nawet do tych dzieł dobroczynnych które są połączone z rozgłosem, nigdy nie przykładła ręki. Nie widywano jej na koncertach, tombolach, bazarach dla ubogich, prawdziwie chrześcijańska ta niewiasta unikała starannie wszystkiego, co mogło ją na szerszą widownię wyprowadzić, imię jej rozślawić. Pragnęła być nieznaną i rzeczywiście tego dopięła, nie wiadano o niej, nie mówiono ani pisano o czynach, które spełniała, nie dla marniej ludzkiej pochwały, lecz jedynie dla miłości Boga i bliźnich.

Powiernicami Teresy Russanowskiej były tylko Siostry Miłosierdzia, stałe jej pomocnice, one jedne znały niepospolite cnoty i zasługi tej chrześcijańskiej niewiasty, lecz nie zdradziły jej nigdy, gdyż wszystkim bliższym znajomym wręcz zapowiedziała, że jeśli ktokolwiek poważy się imię jej wydrukować w dziennikach, wyjedzie z Warszawy, poszuka jakiegoś cichego ustronia, gdzieby mogła sercu swemu dogodzić, nie narażając się na rozgłos, będący nienawistnym dla niej. Szanowano też święcie jej wolę, nawet gdy już zamknęła oczy, jeszcze Siostra Miłosierdzia, czuwająca przy jej zwłokach, odpowiadała tym, którzy pragnęli poznać bliżej zasługi zmarłej, że nie godzi się przed wzrokiem ludzi obojętnych odsłaniać tajemnice tego świątobliwego życia.

Ubodzy tylko, starcy i sieroty, chorzy i kaleki, znali dobrze Teresę Russanowską, błogosławili za życia, a grób jej łzami rzewnymi oblewali, gdy śmierć przedwczesna pozbawiła ich tej dobroczynnej opiekunki. Ile dobrego czyniła, tego wyliczyć i opowiedzieć niepodobna z powodu głównie owego starannego ukrywania dobrych uczynków. Wiadomo tylko, że żyła jedynie tém miłosierdziem, modlitwą i jałmużną zapełniając czas swój cały. Szczególnie zajmował ją los ubogich dziewcząt, założyła też dla nich szwalnię, w której wykształciło się mnóstwo robotnic. Gorliwie wspomagała kolonie letnie, nie tylko pieniędzmi, lecz dostarczała ubogim tym dzieciom ubiorów, które sporządzała własnymi rękami. I tu jednak zastrzegła najwyraźniej, aby w żadnych sprawozdaniach, ogłoszeniach, nie wspomniano o tych darach. Dopiero też z tegorocznego sprawozdania, po śmierci zacnej niewiasty wydanego, dowiedzieliśmy się o tém.

Nie dla rozgłosu, którego Teresa Russanowska tak się lękała, lecz dla przykładu i nauki młodych czytelników, za-

pisaliśmy jej imię w naszej Księdze pamiętnych czynów. Prawdziwy to wzór niewiasty chrześcijańskiej, pobożnej, pracowitej, miłosierniej, a najpiękniejszym rysem jej charakteru jest to serdeczne, wytrwałe unikanie wszelkiej próżności tego świata, staranne ukrywanie cnót i zasług.

## ODWAGA.

Szły dziewczynki zbierać grzyby,  
Z niemi Białuś, piesek żwawy,  
Dla obrony dzieciak niby,  
A naprawdę dla zabawy.

Idą lasem, zdobycz biorą,  
Kozłak, maślak, gąski, rydze...  
Gdzie niespojrzyć, grzybów sporo,  
Białuś szczeka: „Grzyby widzę”...

I przy każdym zaraz staje,  
Wącha, kicha i znów szczeka,  
Mądry piesek grzyb poznaje,  
Przywołuje doń człowieka.

Przy zabawie w wonnym lesie  
Nikt nie zważał co się dzieje,  
Że wiatr czarne chmury niesie,  
Że grzmi w chmurach i ciemnieje.

Aż wtém nagle piorun strzeli,  
I ulewny deszcz zahuczy;  
Dzieci w strachu wśród topieli,  
Białuś zamilkł, ledwo mruczy.

Wszyscy skryli się w gęstwinę,  
Gdzie niełatwo deszcz przemoczy;  
Gromy szarpia niebo sine,  
Ze aż dzieci mrużą oczy

Przed błyskawic strasznym blaskiem,  
Przestraszone, wpół bez duszy,  
A gdy huczy grzmot nad lasiem,  
Zatykają sobie uszy.

Ale jak to zwykle bywa,  
Co gwałtowne, trwa niedługo,  
Wnet pogodą błysnie niwa,  
Niebo błysnie światła strugą.

Wkrótce, zwykle jak po burzy,  
Najwspanialsza łśni pogoda,  
I obfitość plonów wróży,  
Odrodzona znów przyroda.

Tylko wody po ulewie  
Tak rozlały się na łąny,  
Że jak wracać? dziatwa nie wie,  
Do matusi ukochanej...

Tu głęboko, tam głęboko,  
Próżno szukać suchej drogi,  
Wszędzie głębia jest na oko,  
Biedna dziatwa drży aż z trwogi.

A wtém Białuś wchodzi w wodę,  
I na dzieci patrząc, szczeka,  
Jakby mówił: — Ja was wiodę,  
Wstyd być tchórzem dla człowieka...

A więc starsza powie małej:  
— Ja cię wezmę na ramiona,  
Może mię nie schlonie całej  
Ta kałuża niezgłębiona...

Bo pamiętasz matki słowa,  
Że gdy śmiało pójdziem w trwogę,  
Zniknie trwogi tej połowa!...  
Pójdź na plecy... dalej, w drogę!!...

I poniosła starsza małą  
Za Białusiem przez głębinę,  
A szła wolno i nieśmiało,  
I myślała: „Pewno zginę”.  
Ale wody tej głębokiej  
Po kolana było ledwie;



Wkrótce też przez łan szeroki  
Siostry biegly z psem obiedwie;  
Wnet przybiegłszy do matysi,  
Powiedziały, co się stało:  
Jak odwagę mieć ten musi,  
Kto z kłopotów chce wyjść cało.

M. Z.

## ŚLAWNI W PIŚMIENNICTWIE.

p. Z. MORAWSKĄ.

### 4. Mikołaj Rej z Nagłowic.

Oj, z tym Mikołajkiem nie mało rodzice mieli kłopotu. sprytny był, co się zowie, ale do nauki najmniejszej nie miał ochoty. Ojciec też nie bardzo go do niej naglił, bo to tam w początku XVI-o stulecia dużo było takich, którzy utrzymywali, że nauka szlachećcowi na nie się nie przyda, tylko siła w rękę i naturalny rozum popłaca. Matka też, patrząc na swego chłopca, cieszyła się jego zdrowiem, siłą i rozmaitemi figlami, gdzie tylko potrzeba było, czy w gospodarce się wyręczyć, czy ryb prędko w Dniestrze ułowić, ptaka w sidła złapać, czy też, gdy już chłopiec podrośł, zwierza gracko upolować, to Mikołajek zawsze się rażno sprawiał. Nietylko więc rodzice lecz i wszyscy domownicy w Żurawnie chwalili go, mówiąc:

— Nic bo nasz Mikołajek nie zależy gruszek w popiele.

Innego jednak zdania byli goście, odwiedzający Żurawno, a widząc sprytnego chłopca, często powtarzali rodzicom:

— Moi mościwi, szkoda, że wasz Mikołajek tak bąki zbija, boć mu zdolności aż skaczą przez oczy; żeby go tak na naukę, tegiby się z niego człek dla rzeczypospolitej wykręsał.

— Tak, tak — przywtarzali inni — oddaj go, panie Stanisławie, na naukę do miasta.

Słyszając to, Mikołajek nieraz gorzko się wykrzywił, a na pociechę uciekał w pole, do lasu lub do stodoł; ojciec jednak, rozważywszy uwagi krewniaków i życziwych, odwiózł czternastoletniego wyrostka do Skarmierza i oddał księżom w opiekę. Lecz po dwóch latach pobytu, Mikołajek wrócił z taką samą próżną głową, jak wyjechał, wprawdzie oddał go ojciec do innego poblizkiego miasteczka, lecz i tam, i w Krakowie marnował czas, był chłopakiem pod wąsem, do drugiej dziesiątki lat nie wiele mu już brakło, a Mikołajek od książki jak zmykał tak zmykał, utrzymując: *że zdechła skóra nikogo nie nauczy* \*). Kiedy więc znać nie chciał owęj zdechłej skóry, postanowiono go dać na jaki dwór pański, gdzieby z mądrych rozmów korzystał. Po długich usiłowaniach umieszczono go nareszcie na dworze Andrzeja Tęczyńskiego, wojewody sandomirskiego.

Roztropny dwudziestoletni młodzieniec, umiejący składne piosenki wywodzić, a też bez nauki na flegkach i piszczałkach przygrywać, podobał się możnemu panu i Tęczyński wziął go na przybocznego. Tutaj dopiero poznał nasz Mikołajek jak źle robił, że od owęj *zdechłej skóry uciekał*, bo gdy wszyscy rozprawiali po łacinie, on nie prawie nie rozumiał; a gdy mu wojewoda kazał list napisać po łacinie, nie mało się najadł wstydu. Że jednak Tęczyński był panem rozumnym, umiał poznawać się na ludziach; odgadł w Mikołaju niepospolite zdolności, uwolnił go więc od służby, a kazał po polsku pisywać.

Wkrótce też młody Rej tak się wprawił, że zaczął spisywać swoje uwagi, a dowcipami sypał jak z rękawa, wszystko zaś pisał językiem prostym, nieokrzesanym, lecz jędrnym, dośladnym, takim, jakim wówczas mówiono w codziennych spra-

wach, po dworkach szlacheckich i chatach chłopskich, bo w sprawach publicznych używano wszędzie łaciny!

Sława dowcipów Reja, naprędce układanych wierszy, zręcznych odpowiedzi, doszła do panującego wówczas Zygmunta I-o. Monarcha chętnie go widywał, a nawet i wytworna, a krzywiąca nosem na wszystko co polskie Bona, przyjmowała go na dworze swoim. Zygmunt August również go darzył względami, bo Rej, przemawiający i piszący po polsku, podobał się królowi, który na dworze swoim ojczystego języka używać kazał. Lecz wtedy Rej już napisał znakomite swoje „Zwierciadło” w którym rzeczywiście każdy mógł swoje wady i zalety obaczyć, a do tego czasu dzieło to zachwyca nas trafnymi i dowcipnymi uwagami. Pisał też Rej wiele innych jeszcze dzieł poważnej a nawet religijnej treści, lecz we wszystkich znać, że to pisze człowiek bystry, wielkich zdolności lecz z małą nauką, bo téj, mimo późniejszych usiłowań, nigdy już zdobyć nie mógł. Dlatego też sam o sobie powiadał, że porywa się do pisania, jak z motyką na słońce, a nawet na utworach swoich nie chciał kłaść podpisu, wstydząc się swego nieuctwa.

Z tém wszystkiém jednak Rej niepospolite położył w piśmiennictwie zasługi; gdyby nie był zaczął pisać grubym swym i nieokrzesanym językiem, tak zwaném narzęczém małopolskiem, nie byłiby inni tego języka okrzესali i urobili w piękną i dźwięczną naszą mowę. Szkoda, że Rej nie posiadał wyższej nauki, bo przy tak wielkich wrodzonych zdolnościach prace jego jeszcze większą miałyby wartość i nietylko w kraju, lecz i zagranicą byłby zasłynął. My jednak mamy mu do zawdzięczenia to, że wszystko co pisał pochodziło ze szczerzego serca, z umysłu, który nie znając obcych narodów, kochał swój własny i umiał szczerze wypowiedzieć, czego temu narodowi w jego domowém życiu potrzeba.

Niezaprzeczenie Rej jest ojcem późniejszych naszych prozaików, którzy jego prostotną mowę i rubaszny dowcip ogładzili. Nietylko prozą, lecz i wierszém Rej dużo pisywał; ułożył cały psalterz, lecz najgodniejsze uwagi prace jego wierszem są: *Wizerunek pocziwego człowieka*. — *Żywot Józefa syna Jakubowego*; (w rozmowach) *Zwierzytniec*, w którym opisuje ludzi i zwierzęta naszego kraju, dając w dowcipny sposób wiele rad zdrowych ku poprawie obyczajów. Najdowcipniejsze jednak są jego drobne wiersze i figliki, w których zwykle dawał jakąś nauczkę. Jeden z takich drobnych Reja utworów podajemy naszym czytelnikom:

#### „Co rybki o ojca pytały”.

Błaznowi małą rybkę na talerzu dali,

A sami sobie większe z misy rozebrali.

Ten przyłoży do ucha, pilnie jęj słuchając,

A ci się śmieją, co czyni, pytając.

Rzekł: „Ojciec mi utonął, by mi powiedziała,

„Pytam się, jesliby go gdzie w wodzie nie widziała?”

„Rzekła mi: pytaj starszych, co na misie były;

„Ale widzę, żeście je szpetnie rozchwycili”.

Dowcipami, gotowością służenia każdemu, Rej zjednywał sobie przyjaciół. Duży majątek pozwalał mu zabawiać się piórem i liczne mieć około siebie towarzystwo, które też bardzo lubił. Do majątku ojczystego dodawał inne dobra król Zygmunt I-szy i Zygmunt August, obdarowywał go Gamrat biskup, tak zubożony założył miasteczko Okszę nad Nidą i Rejonice około Chełma w lubelskiem. Pisał się zaś Rejem z Nagłowic \*) bo tam z Żurawna rodzinnego miejsca przeniósł się jego ojciec i tam Mikołaj jakiś czas przemieszkował.

Drugi raz przychodzi nam powtórzyć w téj gawędce: „szkoda”. Tak, szkoda, że Rej zawcześnie umarł, to jest prawdopodobnie roku 1569. Miał wtedy dopiero lat pięćdziesiąt kilka, mógł więc jeszcze więcej prac po sobie zostawić; lecz i za te bądzmy mu wdzięczni, a nie naśladować próżniactwa, naśladowmy zamiłowanie do wszystkiego co swojskie i nasze.

\*) Książki w owym czasie po największej części pisane były na pergaminie, a w skórę oprawne.

\*) Nagłowice w Galicyi.



# Zbiór legend i podań dawnych.

przez M...a.

## NAŁĘCZ.

(W czerwonym polu biała chustka, związana, jakby nią opasano głowę, końce spuszczone).

Wielka była ochota w zamku pana wojewody, co się tam często zdarzało. Pito na szczęście blizkiej na Węgry wyprawy, rozbijano puhary i stoły dla popisania się z siłą, a zmiotłszy ze stołów całe pieczone dziki, jelenie i barany, goście wyszli na zamkowy dziedziniec godzić do tarczy, probować dzikich rumaków, i wzajem na próbę wyzywać się do walki. Na raz zawoła wojewoda:

— Ej, tu ciasno, spróbujmy no rumaków na szerszém polu. Kto prześcignie mego Białonóżkę, weźmie go sobie!  
— A jeżeli go kilku z nas prześcignie? — spytano.  
— To każdy z was weźmie po rumaku z mojej stadniny!  
— dumnie odrzekł wielki pan.  
— A jeżeli sam, wojewodo, wszystkich wyścigniesz?  
— To ja zabiorę wasze bieguny! — rozśmiał się właściciel Białonóżki.

— Zgoda! Jedźmy! wyjechali za bramę zamkową, zrównali się, i puścili na dany znak tegim biegiem przez pola i łąny, prosto jak strzelili.

Pozostający w zamku powchodzili na mury i okopy, patrząc ciekawie na owę gonitwę. Przez czas krótki szły konie równo, potem było rozmaicie, wyprzedzały się kolejno, nareszcie Białonóżka zaczął wyprzedzać z razu nieznacznie lecz coraz bardziej całą czeredę. Wtém w chwili, gdy już, już ją wyprzedzał prawie na całą swą długość, niespodzianie z małych krzaczków z boku wyskoczył zając, przebiegając mu drogę, a wypadająca w téj samej chwili strzała dosięgła go przed samemi nogami Białonóżki. Zając po swojemu podskoczył, stanął a raczej siadł na tylnych skokach i zaczął przeraźliwie jęczeć. Rumak szarpnął się w tył, stanął dęba i po krótkiej walce ze swym jeźdźcem padł na bok, jak długi. Wszystkie inne konie rozpedzone wyprzedziły go i przebiegły jeszcze po kilka sążni, zanim podołano je wstrzymać.

Zwolna wszyscy zawróciwszy się wracali na spienionych biegunach ku wojewodzie. Ten, jako dzielny jeździec, umiał dać sobie radę nawet w chwili upadku: rumak leżał, ale jeździec już stał, wyjąwszy wczas nogi ze strzemion i zeskończywszy zręcznie we właściwej chwili. Stał tylko jedno mgnienie oka, rozglądając się dokoła, ujrzał na boku łuczника z łukiem w ręce, i skoczył ku niemu, podnosząc harap:

— Łotrze! ja tobie dam zająca! — huknął z potokiem kłatw, wymierzając nań cios z całej siły. Łucznik odbił cios szablą, tak, że harap padł ucięty przy samej trzymającej go ręce.

— Dać możesz mi tylko tyle, ile ja tobie, szlachcie jestem! — dumnie i spokojnie rzekł przytém.

Wojewoda zatrząsł się ze złości, poznaawszy ubożego szlachetkę sąsiada:

— W taką szlachtę jak ty jesteś, ja orzę! — zawrzeszczał — Panowie bracia dajcie no mi harapa! Ja i z harapem przeciw jego szabli dam sobie radę, tylko przez niespodziankę straciłem tamten!

Łucznik wyprostowany, wsparty plecami o drzewo, z szablą w ręce, powiódł okiem po całym towarzystwie i rzekł:

— Szlachcie jestem! poluję na moim własnym gruncie! konie napadły na mnie, nie ja na nie! Do szabli jestem gotów!

Wojewoda, jak szalony z gniewu, chciał się rzucić na niego, gdy towarzysze otoczyli pana, zsiadając z koni. Widzieli, że gniew go unosił, a było pomiędzy nimi kilku poważniejszych ludzi.

— Mości mieczniku! — szeptali oni do jednego z pomiedzy siebie — waszmość masz dowcip zawsze gotowy, załatwiono a zagódz tę sprawę! Po co bratnią krew rozlewać o nic!

Tymczasem inni wstrzymywali pana wojewodę. Ten, do którego się odwoływano dowcipu, był to szlachcic sążnisty, o wásach jak wiechy, leżących mu aż na ramionach. Pokręcił on całą garścią lewego wása, stanął pomiędzy łucznikiem i targującymi się z wojewodą panami, i zawołał głosem, jak trąbą:

— Proszę o głos!

— Słuchamy! — okrzyknęto. A ktoś dodał:

— Na licha tam waszmości jeszcze o głos prosić, skoro go i tak masz kapitalny!... — i tak mówiący pocierał się po uchu i skroni, bo w istocie mało nie ogłuchł od krzyku pana miecznika, który stał mu tuż koło ucha. Inni panowie rozśmieli się, sam wojewoda ochłonął już trochę z pierwszego zapędu i gniewu, jakim natchnął go zakład przegrany.

Pan miecznik zaczął mówić, a echa odległe leśne odhukiwały jego wyrazy, jak gromowe strzały prawie:

— Zważywszy! iż wiadome wszystkim nam sąsiadom za-targi i niezgody między jegomością panem wojewodą a imię panem Dersikrajem od dawna już trwają i obecnie zaostrozne zostały przez... zająca! Zważywszy! że Węgier, i Niemiec, w obecną chwilę ziemi naszej grożąc, wymagają, aby każda polska szabla z nimi miała robotę, niast zabawiać się z siostrzycą, postanawiamy! my bracia szlachta na tym przy-padkowym sejmiku pod lasem, że panowie antagoniści, wojewoda i pan Dersikraj, udadzą się natychmiast do hufców, a który z nich lepiej się na wojnie odkaże, tego ogłosimy w sporze niniejszym zwyciężcą.

— Wiwat! potwierdzamy wyrok! — krzyknęła szlachta. A któryś rzecze:

— Tak! potwierdzamy wyrok sprawiedliwy pana miecznika w sporze, ale ciekawibyśmy byli wiedzieć, o co ten spór?

— O ten wiatr, który wieje! — z wielką powagą objaśnił miecznik, stając frontem do wiatru i rozwarłszy sążniste ramiona: wiatr dość silny pochwyił jego wasy i rozpostarł je na dwie strony w powietrzu, jak dwie miotły. Wszysey znów się zaśmieli, bo zabawnie pan miecznik w téj postawie wyglądał.

Swoją drogą mówił on szczerą prawdę, że zatargi wielkie go pana z ubogim szlachetką były chyba o... ten wiatr, który wieje. Przyszło do nich niewiedzieć jak. Podobno wyrostkami jeszcze powadzili się o coś sąsiedzi i swary wra-stały z latami. O tém jednakże wszyscy wiedzieli, że pan wojewoda w każdym razie, tak jak w tym, dawał powód do niezgody szaloną swą pychę i popędlivością. Wojewoda podobno chciał, żeby szlachetka płaszczył się przed nim, a Dersikraj uważał się na swéj zagrodzie równym wojewodzie. Młodego Dersikraja wszyscy zresztą bardzo kochali, bo był chwat i pocziwy, choć ubogi. Może i wojewodaby go kochał, gdyby nie to nieszczęście, że za blisko ze sobą sąsiadowali, a zbyt uczna ta bliskość wyradzała częste wchodzenie sobie wzajem w drogę, jak to w obecnym wypadku miało miejsce.

Przez czas gawędy ochłonął zupełnie z uniesienia pan wojewoda, i zawstydził się nawet w duszy tego, że wcale nie po pańsku pokazał zbyt wielką o przegrany zakład drażliwość. Udał zatem, że się śmieje wraz z towarzyszami, przyjął chętnie wyrok pana miecznika, i poddawszy mu się, zawrócił wraz ze swymi gośćmi ku zamkowi. Dersikraja wojewoda jakby nie widział, ale inni panowie pożegnali go po przyjacielsku. Na wojnę przeciw Węgom szli wszyscy i bez wyroku pana miecznika, a więc wyrok ten był tylko żartem, którego celem było zyskać na czasie, aby wojewodę uspokoić. Mimo to nie był wyrok ów zupełnie bez znaczenia, bo obaj przeciwnicy uczuli niby dotknięcie ostrogą w bok koło serca, ku tém dzielniejszemu sprawianiu się na wojnie. Pan wojewoda na razie rzecz całą w żart obrócił, ale oddaliwszy się dostatecznie od Dersikraja, rzekł:

— Dziękuję wam, mości panowie, żeście wstrzymali mnie od pastwienia się nad tym chłopem zuchwałym, ale powiedzcie mi, poco go sami rozzuchwalacie? Poco obchodzić się z nim tak poufale?





I poniosła starsza małą...

— E... przecież co szlachcic to szlachcic, choćby najbiedniejszy — rzecze jeden z panów.

— I choćby mu się klejnot w pożarze stopił, czy w wodzie utonął, czy kruki lub sroki go porwały, dość że go niema?... — drwiąco zapytał wojewoda.

— Hm — rzecze pan miecznik — to bo znów prawda, że dziwna jest ta rzecz. Ten młodzian wygląda na szlachcica i dumę ma szlachetną, a serce dzielne i stale nazywa się szlachcicem, ale też nic więcej powiedzieć o sobie nie umie. Ale ktoś wie, czy nie jest to święta prawda, co on powiada, że



w czasie najścia nieprzyjacielskiego odbił się jakoś dzieciakiem małym od rodziny i odtąd błądzi po świecie sierotą.

— Tak, to bardzo być może! — potwierdzili panowie — czy to jedno szlacheckie dziecko zapodziewa się rodzinie w zamieszcze!

— A ja waszmościom powiadam — krzyknie wojewoda — że to jest zuchwały chłop, którego waszmoście do reszty uzuchwalacie, wydając takie żartobliwe wyroki, przez co go jakoby ze mną równacie!

— Aha! wylazło sztydło z worka! — mruknęli zcicha panowie między sobą. Tak gawędząc, dojechano do zamku. Rozpoczęła się nowa uczta pożegnalna, po której wszyscy razem pojechali do hufców. Bo ten był cel owęj hulanki u pana wojewody, aby dom jego służył do zebrania się sąsiadów ku wspólnej podróży do miejsca ogólnego wojaków zebrania.

Dersikraj oczywiście pojechał także, lecz sam. Był on taki ubogi, że drogę odbywał przysiadając się na włosciańskie wózki, bo nawet konia nie miał, a na wojnę dążył koniecznie, bo pragnął się odznaczyć lub zginąć. Losy tej wojny znane są z historii. Król, waleczny Bolesław Krzywousty, zdradą został obkoczony przez nieprzyjaciół, ale walczył mężnie, jak zwykle, gdy wtém Borys węgierski, za którego sprawę król walczył, począł uchodzić z placu ze swoimi, pociągając za sobą pewnego wojewodę z jego poczem. Wojewoda ten, ujrawszy, że koń pada pod królem, osądził, że wszystko już przepadło, gdyż u ludzi bardzo pysznych i gwałtownych pycha graniczy zawsze ze słabością ducha. Wojewoda tym był zaś pyszny nasz znajomy, wróg Dersikraja. Tymczasem król walczył, jak lew z Żórawiem <sup>1)</sup> w swoim ręku, lecz ucieczka wojewody odsłoniła go i niejako wydawała już nieprzyjaciółom. Byłby zginął, gdyby prosty jakiś żołnierz nie przedarł się doń, podając mu konia, i osłaniając szablicą, póki król na koń nie wskoczył.

Nazajutrz król Bolesław wezwał wodzów na radę i kazał obwołać wśród wojska, aby stawił się żołnierz, który wczoraj królowi konia podał i został cięty w głowę i piersi kilkakrotnie w króla obronie. Gdy żołnierz ten się stawił, król wyszedł do niego ze swemi panami przed namiot i poznawszy go odrazu, pytał:

— Jak się waszmość zowiesz, bracie? bo z postawy sądząc, pewien był, że do szlachcica mówię.

— Dersikraj, miłościwy królu.

— Jakiego klejnotu?

— Nie wiem, acz szlachcicem się wiem i czuję, gdyż sierota jestem, dzieckiem w wojennęj zamieszce zabłąkany.

Te słowa mówiąc Dersikraj podniósł dłoń i otarł z czoła kroplę krwi, która mu z pod wązkiej zawiązki spłynęła ze zranionej głowy. Król rzucił okiem i spostrzegł sporą lniąną chustkę, porzuconą tam przez kogoś na poręcz stołka, wziął tę chustkę i obwiązał nią własnymi rękami głowę Dersikraja, niby na wzór turbanu, a końce przewiązawszy z tyłu opuścił i rzekł:

— Ot tobie będzie klejnot, ta biała chustka na czerwonym polu krwawym, boś to krwią zdobył a poświęceniem dla mnie. A konia masz drugiego wasze?

— Nie, królu, panie mój! i ten był nie mój, bo z pola schwycony.

— Więc waszmość nie masz nijakiej substancji i? <sup>2)</sup>

— Nijakiej, a żyję z łowu, chatę sobie skleciwszy na łąkach <sup>3)</sup> królewskich, dzierżawiąc ziemi kawałek.

— Na łąkach? Tedy miano klejnotu waszmościnego jest Nałęcz! — rzekł król — a coś tam dzierżawił, mości Nałęczu, to twoje i dziesięć razy tyle w okrag!

To powiedziawszy, król skinął zaraz na panów, aby tak było uczyniono, jak kazał. Dersikraj Nałęcz ukląkł u stóp króla, i rękę mu król podał jeszcze, a zapowiedział, by na przyszlą wojenną sprawę był u królewskiego boku, bo takich towarzyszków królom potrzeba. Potém Nałęcz Dersikraj odstąpił, a Bolesław Krzywousty innych wynagradzał, na na-

grody zasługujących. Aż przyszła kolej i na karanie, choć król tego nie lubił. Wtedy rzekł król:

— Kto powinności uchybia, źle czyni; ale stokroć gorzej czyni, kto przytém zły przykład daje. Przeto temu, kto braciom swoim zły przykład dał w podarku, pošlijmy wzajem podarek. Nieścież wojewodzie mojemu, który za Borysem uciekł, trojaki odemnie podarek: kądziel, jako niewieściej naturze, wrzeczono, jako krętarzowi bo nie wierzę, aby przypadkiem zawinił, i skórę zajęczą, jako tchórzowi przystoi.

Tak powiedział król Bolesław Krzywousty, i tak się stało. W kilka tygodni później Dersikraj Nałęcz we własnej ubogiej chacie już gościł pocziwego miecznika i innych, dawniej mu przychylnych sąsiadów, wesoło a szczerze okrzykujących go panem na trzech wioskach, bo tyle wynosił podarek królewski. Klejnot szlachecki krwią zdobyty wynosił o wiele więcej, bo czynił w istocie Nałęcza jak on sam teraz się mienił, równym wojewodzie.

Nacieszywszy się polepszeniem doli przyjaciela, zaczęto przecież w chacie Nałęcza o czém inném pocichu rozprawiać, a mianowicie, czy sąsiad wojewoda wie już o tém, co zaszło na polu bitwy po jego ucieczce, czy nie jeszcze? A owe straszliwe dla rycerza podarunki królewskie, czy doszły już do niego?

Nikt nie o tém wszystkiém nie wiedział, bo litość i wstyd pocziwy nie pozwalały szlachcie zaglądać teraz w oczy wielkiemu panu, tak srodze zhańbionemu, aby nie sądził, że się zeń kto naigrawa. Omijano tedy zamek, i otém właśnie u Nałęcza mówiono, dopóki też trwać będzie takie dziwne a straszne wielkiego pana położenie?... gdy wtém, krzyk straszliwy i lud biegnący zwrócił Nałęcza i jego gości uwagę. Lud biegł tak z zamku, jak z wiosek ku owęj stronie, w której to niedawno w sporze „o wiatr który wieje” pan wojewoda miotał się z harapem na Nałęcza.

Nałęcz i jego goście pobiegli także za ludem, a gdy ten się rozstał i szlachta cofnęła się z okrzykiem grozy: u stóp tego samego drzewa, o które wówczas Dersikraj plecami się opierał, leżał teraz trup dumnego wojewody. Dersikraj, a za nim inni rzucili mu się na ratunek, lecz było zapóźno. Wojewoda, otrzymawszy na tém miejscu okropne podarki królewskie nie mógł przeżyć swęj hańby i padł nieżywy gwałtowną apopleksją tknięty.

Na nim zgasała świetność jego rodowego klejnotu zapomnianego dziś ze szczeniem, gdy sława Nałęczów jaśnieje, na świadectwo, że nie pycha i potęga, lecz zasługa jedynie tworzy i utrzymuje blask klejnotów szlacheckich.

## ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

Następnie, to z niskiej szafy, to z kantorka starego i z przysadzistych pólic, o świecącym naczyniu, starszy, poraz niewiadomo już który dnia owego, pani Beata przyniosła w glinianém niedażem naczyniu świeżej wody, starannie przełożyła w nią z innego naczynia ogromną wiązkę pysznych róż, i ustawiła ją znowu na kantorku, jak stała wprzód, to jest na najpokaźniejszym miejscu w komnacie, ku jej upiększeniu i uwonieniu.

Gdy młoda pani tak się krzątała, synaczek jęj, zwyczajnie jak dzieciak, krztał się także i kręcił koło niej bezustannie. To podawał, to odbierał, to pomagał rozmaicie, ściągając ku sobie każdym ruchem rozkochane oczy trojga ludzi, przemawiających doń co chwila:

— Pachole moje złote, daj teraz tamten wian... — mówiła matka.

— Pachole złote, pójdz usiądź na kolanach u babuli, bo

<sup>1)</sup> Żórawiem zwał miecz swój Bolesław Krzywousty.

<sup>2)</sup> majątku, utrzymania. <sup>3)</sup> Łęki, łąki po dawnemu.



się zmizerujesz z utrudzenia! — mówiła stara Jaśkowa, gestami zapraszając malca.

— Pacholę złote, nie idź do babuli, pójdź do dziada, pojedziemy konno do Krakowa! — zapraszał dziad, wystawivszy kolano, mające konia przedstawiać i powtarzając ową przestarą przypowiastkę, przy której krok konia zastosowywa się ściśle do wyrazów:

— Tak pan jedzie po obiedzie, sługa za nim ze śniadaniem, a tak kmieć, a tak kmieć, a tak kmieć!...

Malec do wszystkich się śmiał, do każdego biegł, do każdego się tulił i konnej jazdy próbował i znowu zeskakiwał z kolan, aby na inny rozkaz pieszczotliwy pobieżeć, w ciągłym ruchu, jak żywe srebro, przyczem za każdym ognia lub skąpego od okien światła połyskiem, błyskały fale przydłuższych trochę włosów chłopca takim świetnym roztopionego złota blaskiem, że łatwo było zgadnąć, z kąd temu trzeciemu w rodzinie Jaśkowi przyszło przezwisko Złotego, którym go mianowali starsi.

Gdy nakrzatawszy się, pani Beata usiadła przecież na niskim stołku koło wonnego ognia, wtedy dziad nalał pełen kubek piwa i rzekł:

— Pacholę złote, a poczęstujże matkę, niech się ochłodzi!

I otóż zaraz okazało się źródło i drugiego przezwiska chłopczyny, bo schwycivszy z półki drewniany, jaskrawo malowany talerz, postawił na nim kubek z piwem i podając je matce, uklonił się troszkę przesadnie ale właśnie wedle wszelkich dworskich obyczajów, pełnym wdzięku ukłonem dworskiego pacholęcia; nie inaczej z pewnością kłaniało się na służbie pacholę takie przed królową, panią swoją. Troje ludzi starszych roześmiało się serdecznie:

— Pacholátko złote moje, pójdź, niech cię uściskam! — wołała matka, dusząc malca uściskami.

— Pacholę złote, kto ciebie nauczył tego? — wołała babka.

— Albo nie pokazywała matka, jak pacholęta służyły królowej Jadwidze? — odpowiedział chłopczyna, śmiejąc się i skacząc radośnie. Gdy matka wypila, on odniósł kubek do dziadów na stół, i wróciwszy przed matkę, stanął przed nią, robiąc zabawne minki, to przyklekał zgrabnie na jedno kolano, i całował spuszczoną rękę matczyną, to mrugał szafirami, jak chaber oczyma, zaglądając jęj w oczy figlarnie i śliczną główką kiwał, a wszystko to razem wyraźnie jakąś prośbę nazczyło:

— Czego on chce? czego chce? a dajże dziecku! — mówili dziadowie rozkochani.

— Czegoż ty chcesz, pacholę złote moje? — spytała matka, roztwierając ramiona, w które on zaraz się utulił, mówiąc:

— Złota, srebrna, dyamentowa matko, opowiadaj!

— I cóż ci opowiadać?

— Opowiadaj, jak wyjeżdżał margrabia Zygmunt, ale nie nie opuszczaj, ani słówka! — prosił. Słuchanie opowiadań matki o tém, co widziała za dworskich czasów swoich w dzieciennych i młodocianych latach, było najmiłą rozkoszą malca.

— Przecież ty to już po wiele razy słyszałeś — śmiała się matka.

— Nie szkodzi, opowiadaj zawsze! — prosił pieszczoch, przytulając się. Wzięła go tedy matka na kolana, przytuliła i tak opowiadała, a on ku wielkiej wszystkich ucieście poprawiał ją i podpowiadał jęj, gdy jaki szczegół chciała opuścić lub skrócić, lub zmienić, oddalając się od tego sposobu opowiadania, jakim po raz pierwszy zachwyciła złotego synka.

## II.

Jak pan ojciec błogosławił pana Zawiszę.

— Kiedy byłam malutką dziewczynką i tyle prawie, co ty dzisiaj, lat miałam — — tak zaczęła pani Beata — byłam wtedy na dworze pańskim u samej pani Sulimczykowej Garbowskiej, w tym wielkim zamku, który widać trochę z naszej Dębinki. Było mi tam bardzo dobrze pomiędzy czterem

doroślemi szlacheckimi pannami dworskimi. Wszystkie nas w wielkiej utrzymywała karność ochmistrzyni panieńska, która tam do dzisiaj tenże obowiązek pełni, pani Salomea Zbrożkowa, wdowa już wówczas poważna. Codziennie szłyśmy wszystkie do wielkiej sali zamkowej i zasiadłyśmy około pani Sulimczykowej, haftowałyśmy barwnymi jedwabiami na grubych, błyszczących jedwabnych tkaninach prześliczne rozmaite kształty, kwiaty, księgi, kielichy złociste, co wszystko pani sama narysowawszy, każdą z nas sama tój cudnej roboty nauczała, no, i pani Zbrożkowa też umie tę rzecz, ale już to przyznaje, że nie ma do niej takiego daru, jak ma sama pani. Z tych cudnych robót stawały się po skończeniu ornaty, kapy, antepedia, stuły i wszelkie inne przybrania kościelne i księżę. Takie było podówczas codzienne zajęcie w komnatach pani Sulimczykowej, i tak tam jest dzisiaj.

Wieczorami, po robocie, przychodzili na salę panowie dworscy, a było ich tak piętnastu na usługach pana samego, jak my byłyśmy na usługach pani, i kilkoro pośród nich było takich, jak ty, maleńkich pacholąt. Tedy pozwalano nam tańcować przy skocznych dźwiękach zamkowej kapeli. Ja, chociaż małutka, uwijałam się zarówno z innymi panienkami, pomagając i w robocie i w ochocie tanecznej, pomagali też w tej ochocie trzej młodzi nasi panice Sulimczykowie Garbowscy, pan Jan zwany Farurej, który dziś jest miecznikiem ziemi krakowskiej; pan Piotr, zwany Kruczek, który butno sobie dziś gospodarzy a czarnowłosy jest, jak kruka; pan Zawisza, zwany Czarny, bo też czarnowłosy, który jest dziś wielkiej sławy rycerzem i dworu króla Zygmunta węgierskiego ozdoba, a pan ten puścić go od dworu i boku swojego nie chce. A otóż opowiem tobie, synku, jak to się ci dwaj wielcy rycerze z sobą poznajomili, bo sama na to patrzałam, a byłam właśnie taka nieduża, jak ty jesteś. Słyszałam ja zawsze wtedy, że żyliśmy w opłakanych czasach, że „nikt sprawiedliwości mieć nie mógł”, że nie było żadnego ładu w kraju, tylko płacz i żałość, a to wszystko przez to, że król Ludwik siedział sobie daleko, a w Polsce w jego imieniu różni i różnie rządzili, na całego kraju niedole. Aż potem usłyszałam znów pańskie rozmowy o tém, iż król Ludwik chory jest na swoich Węgrzech, a do nas jedzie królować nam zięć króla Ludwika, poślubiony z jego córką Maryą, którą naród nasz za sprawą króla Ludwika uznał za jego następczynię. Ten zięć zwał się Zygmunt. Państwo Sulimczykowie Garbowscy różnie sobie o tém rozmawiali:

Ten Zygmunt Luksemburczyk nie wielkie rokuje nadzieje, aby dobrym naszym królem być umiał, bo to jest Niemiec, nieprzychylny nam, tak jak ojciec jego król i cesarz Karol IV, który się przecież dawno jeszcze w młodości swój sprzymierzał w sąsiadami na naszą szkodę.

Tak mówił sam pan Garbowski. A na to rzecze sama pani:

— Tak, ale matką tego Zygmunta Luksemburczyka, jest przecież Elżbieta, wnuka naszego króla Kazimierza Wielkiego, zatem Zygmunt ten jest króla Kazimierza prawnukiem, z Piastów naszych pochodzi, więc niepodobna, aby się w nim Piastowe ku nam nie ozwało serce: miejmy nadzieję, że zacy z niego król będzie, który sieroce łzy nasze, po królu Kazimierzu płynące, otrze.

A na to rzekł pan Zawisza Czarny:

— Z pozwoleniem waszém, panie ojcze... — i urwał nagle mowę, przypomniawszy, że nie przystoi czteremstoletniemu chłopcu wtrącać się w rodziców rozmowy! Ale stary pan Garbowski, choć ostry i surowy, sprawiedliwy jest przecież i wie dobrze, gdzie i kiedy surowości używać, więc rzekł natenzas:

— Mów, synu, gdyż w twoim wieku należy już młodzieniaszkowi własne zdanie mieć, i godzi się skromnie je wypowiadać, aby wyrabiał się umysł twój i sąd o rzeczy, dotyczącej dobra ogólnego.

— Dokończył zatem pan Zawisza mowy swój przerwanej:

— Otóż z pozwoleniem waszém, panie ojcze, i ja mam tę nadzieję o tym Zygmuncie Luksemburczyku, o jakiej pani



matka mówi, a to dla tego, że słyszę, iż on mimo młodości, jest prawdziwie rycerskiego ducha, i rycerskie wszystkie zachowuje obyczaje, i trudno temu uwierzyć, ale powiadają ludzie, że on już jest nawet pasowanym prawdziwym rycerzem!

Ponieważ Zawisza, domawiając tych wyrazów, zaczerwienił się jak wiśnia, przez co stał się jeszcze ładniejszy, bo chociaż czarne ma włosy i ciemną cerę, przecież bardzo to piękne zawsze było paniątko i zręczne, a wdzięczne w pańskim obejściu. Pan Garbowski ojciec spojrział na paniea Zawiszę, potem na żonę, i oboje uśmiechnęli się, i wszyscy my u stołu uśmiechnęli się także, a pan Zawisza, dostrzegłszy tych uśmiechów, poczerwieniał jeszcze bardziej, tak prawie, jak ewikłowy burak. Zrozumiał bowiem bardzo dobrze, iż wszyscy zrozumieli, co on miał na myśli, choć nie powiedział tego, a to było, że i on sam, panicz Zawisza, miał też czternaście lat, tak właśnie, jak margrabia Zygmunt Luksemburczyk, i także gorzał rycerskim zapalem, i także pragnął zostać prawdziwym pasowanym rycerzem, a rodzice dotąd zatrzymywali go w zamku, każąc uczyć się przy różnych mistrzach i koni, broni i polowania pozwalając do syta używać, ale wszelkich rycerskich świetności odmawiając mu, dla jego młodego wieku.

Widząc tedy zaczerwienienie syna i uśmiechy piętnastu innych młodzieniaszków, pan ojciec Garbowski odchrząknął i tak rzekł z powagą:

— Od niejakego czasu coraz bardziej krzewią się u nas różne rycerskie wyobrażenia, zatem trzeba mi powiedzieć, co o tём myślę. Otóż nie ganię ja wcale w młodzieży rycerskiego zapalu do czynów wspaniałych i mężnych, które cześć i sławę jedną u potomności, ale nie podobają mi się dziwactwa i śmieszności, jakie zakradają się obecnie pomiędzy rycerstwem zagranicą, nie chciałbym, aby te dziwactwa, znamionujące upadek ducha rycerskiego, rozpleniły się u nas, i dla tego to nie pozwalam młodzieniaszkom naszym jechać na obce dwory, rycerstwem słynne, dopóki rozum tych młodzieniaszków nie ugruntuje się z latami o tyle, aby umieli zle od dobrego i blichtr od prawdy odróżniać.

Na te słowa, wszyscy się uśmiechać przestali, bo ogólnie kochany panicz Zawisza smutno spuścił głowę zmartwiony. Pan mówił dalej; widząc to:

— Powiedzcież sami, moje dzieci, cobyście powiedzieli, ujrawszy dziwo, jakie ja sam niedawno na królewskim dworze naszym oglądałem: oto rycerz cudzoziemski prawdziwy, bo i przepaskę złotą nosił, przyjechał tam, mając lewą rękę i lewe kolano dość długim złotym łańcuchem złęczone, a to na skutek uczynionego ślubu, iż będzie łańcuch ten dźwigać, dopóki wielce nadzwyczajnego czynu jakiego nie dopełni!...

My wszyscy różmieliśmy się w głos i ten i ów pytał:

— A jakże ten rycerz taki spętany tańcował?

— Jakże on walczył?

Pan Garbowski mówił dalej:

— Widziałem także zagranicznego rycerza, który plastrzem czarnym zdrowe oko jedno sobie zakleił, uczyniwszy ślub, że plastra tego nie odejmie, aż sławnego czynu dokona. I sposobności do tych pożądaných wielkich czynów szukając, jeżdżą tacy rycerze po świecie, zamiast siedzieć w domu, pracując w radzie i walcząc w boju na pożytek własnej ojczyzny i współbraci. Cóż myślicie o takim rycerstwie?

Tak pan pytał, wstając już od stołu, a dworzanie różnie odpowiadali, naśmiewano się z dziwactw rycerzy zagranicznych, i panieze Kruczek i Farurej podobnie się śmieli,

tylko pan Zawisza milczał, głowę smutno zwiesiwszy, aż pan ojciec rzekł:

— Zawiszo! mów, co ty o tём myślisz?

Zawisza wtedy podniósł głowę i rzekł z taką powagą, jakby najmniej dwa razy po czternaście lat liczył:

— Panie ojcze, śmieszność jest śmiesznością, ale nie mniej pierwiastkowa rycerstwa zasada bronić słabości i sprawiedliwości, wzniosła jest, zatem, dziś zostać rycerzem po to, aby tę zasadę w pierwotnej jej czystości wznowić w rycerstwie, nie byłoby to godnem zanego człowieka zadaniem?

Chłopak powiedział te słowa drżącym głosem i z błyszczącymi gorącym uczuciem oczami, wszyscy spojrzeliśmy na niego z uszanowaniem jakimś, a pan ojciec, przystąpiwszy, położył mu rękę na głowie i rzekł wzruszony:

— Twoja prawda! zmeżnijże w tych uczuciach, i jeżeli masz być rycerzem, bądź jakoś wyrzekł, rycerstwa wzorem...

I sprawdziło się to błogosławieństwo pana ojca, oj, sprawdziło...

Ostatnie te wyrazy zadumany głosem wymówiła pani Beata i umilkła, kołysząc synka z wolna w objęciach.

— Ależ, matusiu, a margrabia Zygmunt kiedyż wjeżdżał na królowanie do Polski? i kiedy poprzyjaźnił się z nim panicz Zawisza? — zawołał synek.

— A prawda, zapomniałam o królewiczu Zygmuncie, ale tyś sam to sobie równie dobrze mógł już opowiedzieć? — mówiła śmiejąc się pani Beata i starzy dziadkowie śmieli się, a chłopczyzna prosił, aż matka zaczęła znowu przerwane znowu opowiadanie, ponieważ po wszystkie czasy bywały na świecie matki kochające i synkowie pieszczochy.

(d. c. n).

## ZAGADKA.

(Od córny Jadźwingów z Podlasia dla Wielkopolanki).

Pióra ma piękne, w jasnych kolorach,  
Bywa zastawą wykwinnych stołów;  
Głosik wyciąga w miłych tenorach,  
Na ziemię spada ciężko, jak ołów.  
Dwie sylab nazwę jego wypowie,  
Zgadnij też proszę, jak on się zowie?

Czarodziejska sztuczka (Żubr).

~~Nura~~ — szafan — nawal. Odjąć od tego bryłę lodu, kamień drogocenny i nasyp ziemny, a zostanie imię żeńska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Szarady:

Po — tra — wa.

Łamigłówni głoskowej:

Sanki—York—Rogowiec—Olga—Kraków—Ontario—Muł—Las—Amalfi.

Syrokomla i Słowacki.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Księga pamiętnych czynów. — Odwaga wierszyk p. M. Z. (z drzew.) — Sława w piśmiennictwie p. Z. Morawską. — Zbiór legend i podań dawnych p. M—a. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów (c. d.) — Łamigłówni, rozwiązania. W Dodatku: Rodzina Mimi wierszyk (z drzew.) — Pierwsze fiołki p. W. chnę z pod Lublina. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówni, rozwiązanie. — Skrzynka listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.





Rodzina Mimi.

### Rodzina Mimi.

Jejmość Mimi, kotka biała,  
Liczne dziatki wychowała,  
Ucząc myć się, jak należy,  
Kiedy gość do domu bieży;  
Nie z potrzeby zaś to mycie,  
Bo co rano należycie  
I bez tego kot się myje;  
Odwiedziny przecież czyje  
Kotek myciem zwykle wieści,  
Wedle ludzkiej przypowieści,  
Po to, aby z powinności  
Biegł gospodarz witać gości;  
Więc się w sztuce tej węszenia  
Kształcą kocie pokolenia.

Uczyła też Mimi dziatki,  
Nie dobierać się co klatki,

W której skaczą sobie ptaszki,  
Ni do sadła, ni do flaszki,  
W której zwykła stać śmietanka;  
Lecz z wieczora do poranka,  
A i we dnie, jeśli można,  
Pilnie, żwawo, a z ostrożną,  
Pracowicie a pocichu,  
Tak w mieszkaniu, jak na strychu,  
I w spiżarni, i piwnicy,  
Słowem, w całej kamienicy,  
Ile siły w kocie stanie,  
Sprawiać myszom polowanie.

Uczyła też Mimi kotki,  
Między sobą zgody słodkiej,  
Żeby w figlach, i swawoli  
Nie figlować tak, aż boli;  
A zaś z psami być z daleka,  
I być grzecznym dla człowieka;



I zazwyczaj kryć pazury,  
Dane kotom od natury,  
Do obrony w razie trwogi,  
Gdy napadną jakie wrogi,  
I do łowów w czas pokojny,  
Ale nie do ciągłej wojny,  
Gdyż najlepiej bywa w ciszy,  
Milcząc łowić sobie myszy.

Tak uczyła Mimi biała;  
Dziatwa pilnie jej słuchała,  
To też, zanim roczek minie,  
Już ród naszej Mimi słynie,  
Że ma wszelkie kocie cnoty,  
Że w nim same dzielne koty,  
Każdy strzeże powinności,  
Zapowiada ślicznie gości,  
Że choć straszne ma pazury,  
I największe dusi szczury,  
Przecież mając czucie w łapie,  
Nigdy pana nie udrapie!

Tak, nietylko w kocim rodzie  
Ucząc się w rodzinnej zgodzie  
Wyrastają chlubnie dziatki,  
Gdy słuchają rady matki!

M—a.

## PIERWSZE FIOŁKI.

W śliczny, ciepły dzień Kwietnia, słońce chyliło się już ku zachodowi, a ostatnie jego promienie padały na wszystkie strony; kilka z nich nawet przedostało się przez zapuszczone story do małego pokoiku, w którym na łóżku, stojącym przy ścianie, leżał blady bardzo, dwunastoletni może chłopczyzna. Czoło jego, nad wiek poważne i myślące, otaczały bujne czarne włosy, szafirowe oczy smutnie patrzyły w okół, a z wyrazu całej twarzy widać było, że już dawno musiał być chory. Trzymał w rękę książkę, ale wnet odrzucił ją na bok i jakby z oczekiwaniem spoglądał na drzwi. W tej chwili właśnie wbiegła do pokoju śliczna dziesięcioletnia dziewczynka i rzucając się na szyję chłopcu, zapytała:

— Jak się masz, Leosiu, czy ci było smutno bezemnie?

— Tak, siostrzyczko, nudzę się strasznie, jak ciebie nuda — odparł chory z uśmiechem.

— Wierzę ci bardzo, ten pokój taki dla mnie smutny, że nie mogłabym w nim mieszkać. Może podnieść roletę?

— Nie, dziękuję, słońce razikoby mnie w oczy; opowiedz mi lepiej, co widziałas na spacerze, Zosieczko.

— Ach! tak ślicznie na dworze, kochany Leosiu, z pewnością już będzie wiosna, widziałam dziś bociany na łące, a Adelka słyszała skowronka onegdaj. Od kilku już dni noszę pieniądze z sobą z obawy, by mnie kukła bez nich nie okukała. Ale ty, braciszku, czy cieszysz się, że wiosna nadchodzi? — szczebiotała Zosia.

— Dla mnie, siostruniu, to zupełnie wszystko jedno, czy wiosna czy zima, bo już od roku leżę ciągle w łóżku — odparł Leonek i łza zakręciła mu się w oku.

— Nie płacz tylko, mój kochany — zawołała Zosia zasmucona — doktor mówił wczoraj, że bezwątpienia wyzdrowiejesz i że niedługo będziesz mógł wstać, a nawet chodzić po ogrodzie. To byłoby doskonałe! — i żywa Zosia zaczęła układać plany, jak to się z braciszkiem bawić będą wybornie, odbywać dalekie spacery, jeździć do lasu na grzyby lub orzechy, łódką pływać, bo tak dawniej przed chorobą brata bywało. Opowiadała mu właśnie, że odwiedza codziennie jego kuca, zanoszą mu cukru i chleba, gdy do pokoju weszła matka dzieci.

— Zosiu — rzekła — Adelcia skończyła muzykę, możesz iść się z nią pobawić, ja zostanę przy Leonku.

Dziewczynka zerwała się prędko i wybiegła, wołając:

— Do widzenia, Leosiu!

Chłopczyk spojrział na nią smutno.

— Jakże z niej jeszcze dziecko — szepnął — cieszy się, gdy mnie opuszcza.

— Nie myśl tak, mój drogi — rzekła matka — Zosia jest dobra dziewczynka, a że trochę żywa, to trzeba jej wybaczyć; zresztą kocha cię bardzo i z pewnością sam się kiedy o tym przekonasz.

— Może być, mamó, ale wątpię — odparł chłopiec z niedowierzaniem,

Nazajutrz był to 11 Kwietnia, dzień imienin Leonka, rano zaraz przyszedli mu powinszować rodzice i ośmioletnia kuzynka Adelcia, która się wraz z Zosią uczyła, ale przyjscia siostrzyczki doczekać się nie mógł.

— Co się to znaczy — myślał Leoś — zawsze najpierwsza przychodziła mi winszować, a dziś!... Czyżby mnie zupełnie nie kochała?

W tej chwili małe rączki zakryły mu oczy, a słodki głosik zawołał:

— Zgadnij!

— Zochna!

— Tak, ja, braciszku, przyszedłam ci złożyć życzenia szczęścia, zdrowia, stu lat życia, i wszystkiego najlepszego — szczebiotała dziewczeczka, całując brata. — No a teraz pokażę ci coś ładnego, ale zgadnij co — dodała.

— Powiedz lepiej, bom bardzo niedomyślny.

— No, to zresztą patrz! — zawołała Zosia, pokazując mu śliczny bukiet z fiołków, otoczonych zielonymi liśćmi.

— Ach fiołki! dziękuję ci bardzo — rzekł chory, wyciągając chudą rączkę po bukiet.

— A co, czy nie wspaniałe? — pytała Zosia.

— Śliczne i tak mile pachną; ale skąd je masz? u nas w ogrodzie są późniejsze, o ile wiem.

— Te kwiatki nie są z ogrodu — odparła Zosia — wiedząc, jak je lubisz, szukałam w lesie i na koniec znalazłam, dlatego tak późno do ciebie przyszedłam.

— Nie widziałem, jak wchodziłaś, moja dobra siostrzyczko — rzekł Leoś.

— Bo ja cichutko weszłam, a ty byłeś taki zadumany; ciekawam, o czym myślałeś?

— Przyznam się, Zosiu, że o tobie, dlaczego do mnie nie przychodzisz i wczoraj z taką radością odemnie odezwałeś? sądziłem, że mnie już nie kochasz.

— O, niewdzięczniku! wstydy się za te podejrzenia. Ja wczoraj odeszłam prędko tylko dlatego, żeby się na-



uczyć lekcji i móżdż dziś rano iść po fiołki do lasu. Przebaczam ci jednak złe o mnie mniemanie i nawet powiem dobrą nowinę: doktor pozwolił ci wstać z łóżka. Czy bardzo się cieszysz?

— Ach, mój Boże! czy naprawdę?

— Naprawdę, naprawdę, braciszku, daj mi buziaka, a te fiołki jak zwieźdną, zasusz na pamiątkę twój nieufności dla siostry.

Leonek zupełnie odzyskał zdrowie, mógł cieszyć się świeżem powietrzem, słońcem, kwiatkami, a jednak nie raz z przyjemnością patrzył na zasuszone fiołki, które mu przypominały dobroć i przywiązanie Zosi dla niego.

*Wiochna z pod Lublina.*

## NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

— Gotów powiedzieć Kryszałek, że i powietrze do niego należy — rzekł Zielonko — jeszcze mi zabroni oddychać swoim powietrzem.

Rozśmiał się Abrakadabrus.

— No, no, tak źle nie będzie — mówił — królewicz Kryszałek łamie przecież i sam niedorzeczne te układy.

— Zgaduję już teraz, z kąd rośliny biorą te wszystkie trzy gazy — rzekł Zielonko — mają je przecież w powietrzu, i w wodzie.

— Wodór rzeczywiście wciągają sobie z wody korzonkami — odparł Abrakadabrus — i dlatego jęć tyle piją; tlenu także nie potrzebują szukać daleko, bo go mają także w tej samej wodzie, obok tlenu. Co do azotu, rzecz jest dość ciekawa, pomimo że tego gazu takie mnóstwo unosi się w powietrzu, rośliny jednak z tamąd go nie pobierają, chyba w małej ilości tylko, głównie zaś wciągają także korzonkami z ziemi.

— Alboż w ziemi jest taki gaz? Jakże on tam może się utrzymać? Sam mówiłeś, mistrzu, że gazy zawsze ulatują w powietrze i w zamkniętych naczyniach utrzymać je potrzeba.

— Ba! a zapomniawszy, co wspominałem o czarodziejskich sztukach mego przyjaciela Chemika? jak to on z różnych gatunków ziemi wydobywał metale i... gazy. Tam w ziemi ogromne ilości gazów są uwięzione w różnych twardych minerałach. Ale gdy deszcz zwilży ziemię, zaraz w tej wodzie różne te minerały się rozpuszczają i dostają się razem z nią do wnętrza roślin przez korzenie. W roślinach jest mnóstwo cieniuteńkich rureczek i woda przez nie płynie do góry, a tam we wnętrzu roślin odbywają się zaraz różne czarodziejskie sztuki, podobne do tych, które to przyjaciel mój Chemik w swojej pracowni urządzał. Minerały rozkładają się, ciecz, gazy, cząsteczki twarde łączą się znów całkiem inaczej, kombinują się cudownie i oto widzisz, miłościwy królewiczu, co się z tego robi: łodygi, liście, kwiaty, owoce.

— Jakto, więc to wszystko z minerałów się tworzy? Muszę ci wierzyć, mistrzu, choć mi to bardzo niepra-

wdopodobne wydaje. Ale zapomnieliśmy o węglu; mówię, że główną częścią roślin jest węgiel, z kądże one go biorą? Czy także z ziemi? Czy węgiel jest w ziemnych minerałach?

— Może znów trudno ci będzie uwierzyć, miłościwy królewiczu, bo muszę ci powiedzieć, że rośliny pobierają węgiel z powietrza. Nie śmieję się, miłościwy królewiczu, to jest rzecz zupełnie dowiedziona. Czy pomyślałeś kiedy o tem, co się dzieje z węglem, gdy się drzewo zupełnie wypali, a na kominie zostanie tylko garstka popiołu?

— Jakto, co się dzieje? Wypala się, ginie.

— O, mylisz się bardzo, miłościwy królewiczu; najpierw trzeba ci wiedzieć, że na całym świecie niema takiej rzeczy, któraby mogła zginąć. Jeżeli z *niczego* nikt nie potrafi zrobić *coś*, to i z *czegoś* zrobić *nic* jest także sztuką, której nikt nie dokaże.

— Ej, co też mówisz, mistrzu, ileż to ja rzeczy potrafię zniszczyć...

— Zniszczyć? o nie, miłościwy królewiczu, zepsuć, nie zniszczyć, a to wcale co innego. Z rzeczy zepsutej pozostają szczątki, otóż i z tego węgla, który niby na *nic* się wypala, muszą także pozostać jakieś szczątki, a gdzie się one podziewają, to łatwo odgadnąć. Ulatują kominem w powietrze. Węgiel rozdrobniony, lecz nie spalony, uchodzi w postaci dymu i jako sadze gromadzi się w kominach. Wiedzą o tem dobrze kominarze. Lecz węgiel spalony, chociaż nie ginie, jednak przemienia się do niepoznania, łączy się z tlenem powietrza i powstaje ztąd nowy gaz, dwutlenek węgla i ten w powietrze ulatuje. Otóż trzeba wiedzieć, że rośliny na ten dwutlenek węgla ogromny mają apetyt i chciwie go z powietrza pochłaniają. Mają do tego w swych liściach zielonych mnóstwo szpareczek malutkich, nie dojrżanych gołym okiem, tylko przez szkło powiększające można je zobaczyć. Dwutlenek węgla, gaz niezmiernie nikły, wybornie się wciska przez te szpareczki. I zaraz znów zaczyna się rozkład, dwa gazy się rozdzielają, tlen znowu sobie ulatuje w powietrze, a węgiel w roślinie zostaje.

— Teraz już wszystko zrozumiałem — rzekł Zielonko — i przynajmniej nie powstydzę się bardzo przed królową Jagódką jeżeli kiedy zacznę ze mną rozmowę o roślinach. Mają wtedy rośliny w sobie węgiel i trzy gazy, tlen, azot, wodór.

(d. c. n.)

### Łamigłówa zgłoskowa (Pokrzywa).

Z następujących zgłosek: a—bo—cy—dub—dur—er—fer—furt—nan—ro—ro—sta—trę—wła—ułożyć wyrazy: 1. Miasto powiatowe w gub. Czernihowskiej. 2. Twierdza słynna, obroniona przez kobietę. 3. Miasto w Niemczech. 4. Wyspa na oceanie Atlantyckim. 5. Rzeka we Francji. 6. Miasto w Lotaryngii.

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 25-go.

#### Zadania konikowego:

Fortuna kołem się toczy.



## Skrzynka do listów.

**Siekierka** pismo swoje nazywa szkaradném; zbyteczna to skromność, bo pismo jest tak ładne, żeśmy je wzięli na pierwszy rzut oka za próbkę kaligrafii na konkurs. Serdecznie dziękujemy kochanej Siekierce, że będąc jeszcze osłabioną po tak ciężkiej chorobie, pamiętała jednak o nas; życzymy jej jaknajprędszego powrotu do sił.

**Niezapominajce z nad Horynia** dziękujemy za wiadomość o odegraniu komedyjki „Sprytny Walek”. Co do łamigłówek, nie jeszcze obiecywać nie możemy, jeżeli się okaże lepszą od innych, będzie wydrukowana. Dotychczas jednak mnóstwo dawniejszych czeka kolei. Na ostatni konkurs o dniu najszcześniejszym nie otrzymaliśmy wcale odpowiedzi Niezapominajki i dla tego nie było o niej wzmianki, gdyż Kazio ani jednej odpowiedzi nie pominał w swoim sprawozdaniu, żadnej też tym razem nie zgubił.

**Malina z Siedlec** zasmuciła nas bardzo skargami całkiem niesłusznymi. Malina nie dowierza, aby na jej szarady mogło zabraknąć miejsca i sądzi, że jedynie przez niedbalstwo redakcyi leżą miesiącami niedrukowane. Ciekawa rzecz, jakby to Malina sobie z tém poradziła? bo przecież niepodobna najlepszych nawet dziesięciu szarad i łamigłówek wydrukować w jednym N rze, cóż więc począć, jeżeli tyle ich na raz nadejdzie? Powiada Malina, że niewarto pisać po to, aby odbierać lakoniczne odpowiedzi. Ale i na to rady niema, bo gdy nadejdzie mnóstwo listków, na wszystkie odpisać trzeba, a niepodobna całego pisemka zapłacić łamigłówkami i odpowiedziami. Co do utworów młodzieńskich naszych czytelniczek, te zamieszczamy bardzo rzadko i tylko wyjątkowo. Kto w tak młodym wieku już się tém zraża, że drobna jakaś praca nie była od razu wydrukowana i narzeka na trud daremny, nie rokuje na przyszłość wielkiej wytrwałości. Dużo pracować, dużo uczyć się potrzeba, zanim się zacznie z korzyścią uczyć innych.

**Oleńce ze Żmudzi.** Historii żądanej niema w języku polskim, a ponieważ w listku nie było to zastrzeżone, więc posłaliśmy taką, jaka była. I atlasu z wyraźniejszymi napisami nie dostaliśmy w handlu tutejszym. Nie wiemy też, o jaką książkę idzie teraz, czy o katechizm czy o historię świętą?

**Sepowi czarnemu** dziękujemy za przysłanie wierszyków, które przeczytaliśmy z przyjemnością. Trudno zapewne z tych próbek orzekać o talencie, bardzo też rozsądnie Sep czyni, że druk ich sam uważa za przedczesny, zawsze jednak te drobne utwory dobrze świadczą o upodobaniach i dążnościach Sępa. Dostateczne na początek prawidła prozody zawiera Gramatyka Małeckiego mniejsza, najlepiej jednak i najkorzystniej jest wczytywać się w arcydzieła naszych wieszczów i na tych wzorach smak kształcić.

**Wytrwałość** nie potrzebuje czekać sposobności do korespondencyi bo jej listki zawsze są z radością witane. Sam widok gałązki fiołków, która zawsze towarzyszy ładnej, dobrze znannej kaligrafii, miłe już wywiera wrażenie. Kochana Wytrwałość wielkaby nam przyjemność sprawiła, gdyby kiedy wraz z listkiem włożyła do koperty swoją fotografię. Mamy już spory zbiorek fotografii, któremi korespondentki nasze i korespondenci nas kiedy niekiedy obdarzają, a wszyscy są o to serdecznie proszeni.

**Dzieciotłowi** dziękujemy bardzo, że wśród tak ważnej pracy egzaminowej znalazł chwilkę czasu na napisanie listku. Łamigłówka musi czekać, wszystkim to powtarzamy, że łamigłówek

nadchodzi daleko więcej, aniżeli ich pomieścić można, trzeba więc być cierpliwym, jeśli się okaże lepszą od innych, przyjdzie na nią kolej.

**Jabłonka z Podola** przy ułożeniu wierszyka z prozy parę tyłko drobnych omyłek zrobiła, porównując to do naszego rozwiązania, zrozumie najlepiej na czém zależy rytm w poezyi. Jest to wprawa bardzo pożyteczna, nie potrzeba przy tém nic własnego dodawać, tylko z tych samych wyrazów wiersz ułożyć. Łamigłówek ma ważny błąd, gdyż imię poety pisze się Bohdan nie Bogdan.

**Zawierucha** myli się, przypuszczając, że redakcyja nasza wielu korespondentów przyjemniejszych od niego; przeciwnie, listki Zawieruchy do najmielszych zaliczone. Kazio przesyła życzenie serdeczne, aby i reszta egzaminów pomyślnie się koledze powiodła.

**Krakowianin** nie potrzebuje się tłumaczyć, gdyż częste listki nigdy się nam nie mogą naprzykrzyć. Łamigłówka zupełnie podobna, była niedawno drukowana, czyby Krakowianin nie zechciał coś nowszego wymyślić? Zawierucha życzy Krakowianinowi, aby mu się egzamina powiodły.

## KRONIKA RODZINNA.

„Kronika Rodzinna“ wychodzić będzie w kwartale przyszłym w tymże samym kierunku i warunkach. W najbliższych numerach zamieści pomiędzy innemi: **OPOWIADANIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD**, odbytej w końcu roku zeszłego przez *Ignacego Domejkę*. W dalszym ciągu *Korespondencye Michała Wiszniewskiego*, z archiwum hr. Przeździeckich, **ZE WSPOMNIENI O DOBREJ KRÓLOWEJ**, niewydane listy Maryi Leszczyńskiej. **LISTY Z WŁOCH**, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego; *Korespondencye z Londynu Miss Magdaleny Ashurst Biggs*, tłumaczki na język angielski „Pana Tadeusza“, oraz powieść z dawnych dziejów pod tytułem: **NA ZAMKU ŻŁOTORYJSKIM**.

Prenumeratorzy „Kroniki“, otrzymać mogą po cenie niższej różne wartościowe dzieła i oleodruki, wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, oraz w dodatku bezpłatnym wydawane nakładem Redakcyi **PAMIĘTNIKI MARYI WESŁÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ**, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.

**PRENUMERATA** roczna w Warszawie rs. 4, na prowincyi, w kraju i zagranicą rs. 5 — (to jest. w Galicyi reń. 6 — w Poznańskim marek 10), stosownie do tej ceny opłata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi:

Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.

## Waleryja Giewartowska

PRZEŁOŻONA ZAKŁADU NAUKOWEGO ŻEŃSKIEGO.

przy ulicy Ogrodowej Nr. 22/26.

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie. Zapis uczennice po wakacjach, rozpocznie się 11/23 Sierpnia.

## WIECZORY RODZINNE.

„Wieczory Rodzinne“ wychodzić będą w półroczu następnym w tymże samym kierunku i warunkach, zamieszczając **OPOWIADANIA HISTORYCZNE — ŻYCIORYSY ZNAKOMITYCH LUDZI — WIADOMOŚCI Z NAUK PRZYRODNICZYCH, HISTORIJI ODKRYC I WYNALEZKÓW — POWIEŚCI — PODRÓŻE — ZAGADKI HISTORYCZNE** i inne, za odgadnięcie dawać się będą nagrody z książek, albumów, rycin i fotografii. Prenumeratorzy oprócz tego nabywać mogą po cenie niższej odpowiednie dla siebie książki. W półroczu przyszłym będą zamieszczone między innemi: **ŻŁOTE PACHLE** powieść historyczna M. Grzymały, **Tajemnica Starego Klasztoru**, powieść z dziejów Serbii **GARBUSEK**, powieść dla dorastających panienek p. Maryi Świdarskiej, **KOMEDYJKI** dla teatryków amatorskich, **POGADANKI Z NAUK PRZYRODNICZYCH** M. J. Zaleskiej, **OBRAZKI Z DZIEJÓW LITERATURY** p. Z. Morawską, **POGADANKI OGRODNICZE** p. Z. Grabkowską, **W KRAJINIE ŚNIEGÓW I ŁODÓW**, podróż młodego wędrowca Polaka w krajach północnych.